Rozmaitości

Dnia 28. Października — Nr 43. — 1837 Roku.

ZAMEK FOURQUEVAUX.*)

ZAGA FAMILIJNA.

... Stary służący w liberyi otworzył nam kracianą bramę i ukłonił się z uszanowaniem.

»Czy można zwidzieć zamek?« zapytałem.

»Pan margrabia jest teraz sam obecny, a bez jego pozwolenia nie śmiém zadowolnić życzeń pańskich; wszelako jeżeli panowie chcecie pójść do ogrodu i pomówić z nim samym, jestem pewien, że im z ukontentowaniem pokaże swe pomieszkanie.«

»Dobrze przyjacielu, zaprowadźże nas do swego pana.«

Wkrótce przybyliśmy do obsadzonego grabiną muru, przez który się małemi drzwiczkami do warzywnego ogrodu wchodziło. Byłto wielki, przedziwnie mnóstwem drzew owocowych ocieniony ogród. Stary sługa, opuściwszy nas, poszedł do staruszka, który w końcu alei na słońcu się przechadzał. Byłto sam margrabia. Zaledwo służący pomówił z nim słów kilka, natychmiast się do nas przybliżył. Przyjął nas uprzejmie i bez wszelkiego przymusu.

»Witam was,« rzekł do nas, »moi panowie. Jestem bardzo rad, że im przyszło na myśl zwidzieć mój zamek; z ukontentowaniem pokażę wam wszystkie szczegóły i cieszyć się będę, jeźli oczekiwanie wasze zawiedzionem nie będzie.«

Twarz Henryka Beccaria de Pavia, margrabi de Fourquevaux, była szlachetna i mówiąca, a sposób zachowania się jego okazywał światową ogładę. Na pierwszy rzut oka widać w nim było piętno starożytnego szlachcica. Wszyscy trzéj rozmawiając udaliśmy się do zamku.

»Zamek ten,« rzekłem, »zdaje się być jednym z najdawniejszych w okolicy Tuluzy.«

»Ze wszech miar, przynajmniej takie jest powszechne mniemanie. Ale to powiedzieć można z pewnością, że w r. 1424, w którym przodkowie moi z Włoch się wynieśli, już mu wtedy było kilka set lat, i że mój pierwszy pradziad Francuz, znacznie go odbudował.«

»Więc familija jego z Włoch pochodzi?«

»Dwa pierwsze imiona moje są dowodem początku mego rodu. Z resztą ponieważ się zdaje, iż wćpanów obchodzi historyja méj rodziny, opowiém ją więc krótkiemi słowy: My pochodzimy z Lombardyi. Lancelot de Beccaria znużony niepokojem, sprowadzonym przez niesnaski Guelfów i Gibelinów, wygnany z miasta Pawii (gdzie przodkowie moi byli udzielnémi panami), przez jakiegoś wicehrabiego, o którym nié wiém dokładnie, zabrał szczątki swego majątku i w towarzystwie kilku wiernych wazalów, ofiarował swoje usługi Karolowi VII., który podtenczas staczał boje z Anglikami, dla wyparowania ich z swego królestwa. Lancelot wspiérał króla ludźmi i skarbami; a gdy król za pomocą boską i przez oręż przyjaciół znowu odzyskał dziedzictwo swoich ojców, waleczny Lombardczyk, orężny towarzysz dziewicy Orleańskiéj, Labira, Dunois i wielu innych bohatérów ówczesnych, prosił króla Karola o zaszczyt, by w nagrodę swych zasług mógł zostać jego poddanym. Zrodzony pod pięknem niebem włoskiém, podobał sobie jedynie we Francyi południowéj. Nie wiedzieć, czy przez ożenienie, czy przez zdobycie, nabył téj baronii Four-

*) Niegdyś Foulquevaulx (widlasta rozłęga), ponieważ zamek ten stoi na wzgórzu, które rzeczoną rozłęgę, oddaloną o cztery mile od Tuluzy, w kształcie wideł rozdziela.

quevaux, w którćj zatknął swój sztandar. Od tego czasu wiernie i z sławą służyliśmy zawsze królom francuzkim. Dziad mój, między innemi, poległ na czele swego pułku w bitwie pod Hochstädt.«

»Co do mnie,« mówił daléj, »nie jestem żołniérzem. Pędzę moje życie między drzewy i kwiatami. Dom mój składa się z kilku starych sług, którzy już od dawna do nas są przywiązani. Pierre Goffre, który panów tu przyprowadził, pochodzi wprost od jednego z ludzi orężnych Lancelota; ojciec jego podówczas Goffredi się nazywał.«

Tymczasem przybyliśmy przed zamek, który na piérwszy widok zdawał się być bardzo wielką, czworoboczną budową; dziwiliśmy się nie widząc ani wież, ani przekopów, ani mostów zwodzonych.

»Oto, moi panowie,« rzekł uprzejmy przewodnik nasz, »jest moje dzieło. Za czasów cesarstwa, gdy formy średniego wieku i jego wspomnienia nie przypadły do smaku, musiałem się zastósować do obyczajów podówczas panujących. Kazałem poznosić skrzydła, dachy i wieże, powypełniać przekopy rumowiskiem i aż do samych murów pozakładać gazony i klomby angielskie. Słowem, stary zamek mój przemieniłem w pewny rodzaj domu w nowym smaku, przynajmniéj co do powierzchowności. Podług teraźniejszych wyobrażeń, spodziéwam się niezawodnie, że mi tego nie pochwalicie, ja nawet sam, przyznam się otwarcie, że mocno tego żałuję. Tymczasem może przynajmniéj wnętrze zamku wynagrodzi panom tę stratę.«

Margrabia nas nie zawiódł. Piérwszy pokój, do którego śmy weszli, był pewny rodzaj przesionka, z długiemi i wązkiemi oknami, na których szybach były herby malowane. Na ścianach wisiały starodawne oręże i trofea myśliwskie. Framugi okien wybite w murze mającym czternaście stóp szérokości, osłonione ciężkiemi firankami z ukwieconego adamaszku, formowały rzeczywiste pokoje. Pośród tego gmachu, który był salą jadalną, stał wielki stół dębowy, czarno polerowany. Imponujący widok tego gmachu pogodził nas poniekąd z powierzchowną postacią zamku.

»Te potężne mury,« rzekłem stukając w nie, »są jeszcze pięknym zabytkiem średniego wieku.«

»Bez wątpienia,« odrzekł sędziwy margrabia, »mój stary zamek, jakkolwiek nowocześnie jest przekształcony, był jednak w swoim czasie najmocniejszą twierdzą królestwa, opiérał się rozlicznym najazdom i nigdy, przynajmniéj dokąd jest w naszym ręku, nie wtargnął weń nieprzyjaciel.«

Potém poprowadził nas do innych pokoi w swoim zamku. Wszystko tam było w guście starożytnym. Malowane okna, spaniałe oręże, łóżka z słupami i ozdobą snycérską, na których wisiały grube osłony, dalej były obrazy, rznięte szkło, kredensy i t. p. Wszystko pokazywał nam z największą uprzejmością.

Nakoniec przyszliśmy do sławnéj galeryi, o któréj nam w Tuluzie tak wiele rozpowiadano. Długość jéj wynosi stóp prawie dwieście. Znajduje się ona na południowéj stronie i ma dwadzieścia cztéry wielkich okien, przez które światło do niéj wpada. Szyby, mające przeszło pięć set lat, są jeszcze zupełnie całe; zatrzymują świéżość koloru i przedstawiają całą historyję Dawida i Saula. Obadwaj ci królowie przedstawieni są w ubiorze średniego wieku, z włoczniami w ręku, a na głowie mają przyłbice. Saul siedzi na koniu, otoczony od dwunastu parów czyli dygnitarzy koronnych, którzy także tak są uzbrojeni; on zaś ma lilijowy wieniec na głowie i na czapraku herby. Pozostała nam jeszcze do zwiedzenia sala balowa; niezmiernie jest obszérna, któréj ściany obite są pozłacaną skórą z Flandryi, i wielkiemi weneckiemi źwierciadłami przyozdobiona. Między niektóremi okopconemi obrazami, przedstawiającemi krajowidy i bitwy morskie w starym guście, znajdował się także portret czarno ubranéj kobiéty, która miała twarz posępną i pistolet u boku. Pod portretem wisiał na ścianie pistolet turecki, podobny zupełnie do tego, co był na portrecie.

»Cóż ma oznaczać ten pistolet?« zapytałem margrabiego.

»Pistolet ten, niestety! zawiéra straszną historyję, moi panowie. Czy chcecie ją słyszeć?«

»Jeżeliś pan łaskaw.«

»Siadajcież panowie... Będzie temu sto lat i dziesięć bez dni trzech z dzisiejszym,« rzekł margrabia de Beccaria, jak w Fourquevaux był wielki festyn. Babka moja obchodziła uroczystość zaślubin jednéj z swoich siostrzenic.

Wszystkie pokoje zamku były rzęsisto oświetlone, zacząwszy od chorągiewki na zamku, aż do mostu zwodzonego. Po oknach salonowych suwały się bez ustanku cienie ludzi, a na moście zwodzonym widać było co chwila z wielkim hałasem i trzaskiem zajeżdzające spaniałe powozy. W salach i na galeryjach znajdowało się wesołe i świetne zgromadzenie; margrabiny, księżniczki, prezydenci, opaci, oficérowie. Wszędzie kredensy, orkiestry, stoliki do lombra, faraona i t. d.; wszędzie tańczono menueta, kadryla i kontradansa. Ach! Od tego dnia Fourquevaux już nigdy tak nie świetniał!... Przy wnijściu do sali balowéj, w tych samych drzwiach, które wćpanowie tutaj widzicie, stała kobiéta, w swoim wieku jeszcze powabna, smukłego i spaniałego wzrostu; byłato moja babka. — Przyjmowała gości spokojnie i z powagą przyzwoitą swemu wiekowi. Szata z drogiego czarnego aksamitu czyniła wydatniejszą nadzwyczajną bladość jéj twarzy, ale największe zadziwienie sprawiał pistolet damasceński, który miała u przepaski. Co sprawiało, że gdy się przechadzała pomiędzy gośćmi, szeptano sobie do ucha i ukradkiem dawano skinienia. Nikt nie wiedział jak sobie to wytłumaczyć, a zapytać się, przyzwoitość wzbraniała; w tym sposobie dosyć długo trwała niepewność; aż nareszcie Paweł de Montcabrin, rozmistrz dragonów, młody krewny méj babki, ośmielił się zapytać się jéj: dla czegoby, jako wojownik jaki, tak wielki pistolet przy boku nosiła. Margrabina uśmiéchnęła się tajemniczo i obróciwszy się do jednego obok niéj stojącego opata, zapytała go cichym głosem. Ten skinął głową w znak zezwolenia.

»Żyjąc samotnie,« rzekła moja babka, »nie biorę za złe tego podziwienia, które na widok téj broni jest bardzo naturalne: trzeba bowiem wiedzieć, iż już od lat szesnastu z tą bronią i na chwilę się nie rozstaję. Zapewne chcecie wiedzieć powód, który mnie do tego skłonił. Uczynię zadość żądaniu, ale pod tym jednym warunkiem, abyście się z téj tajemnicy, którą wam odkryję, naśmiewać nie chcieli; nie masz albowiem w tém żadnego urojenia, jestto istotne zdarzenie, co opowiadać będę.»

Każdy z gości skłonił się z uszanowaniem; margrabina usiadła w wielkiém poręczowém krześle, w tém samém, w którém ja teraz siedzę, i zaczęła w ten sposób:

»Wiadomo jest zapewne obecnemu zgromadzeniu, że w roku 1704, a sześćdziesiątym piérwszém panowania Ludwika XIV., którego duszy niech Bóg świeci! małżonek mój, wielce szlachetny i wielce potężny Paweł Beccaria de Pavia, margrabia de Fourquevaux, kawaler orderów królewskich, poległ w bitwie na czele swego pułku... Po śmierci swojéj zostawił mi syna i znaczny majątek, który dalecy krewni mego męża wydrzeć mi usiłowali; żądania ich były zbyt śmiałe, ale nie miały, jak tylko pozory za sobą.*) Antoni de Bedanson, mój krewny, piérwszy prezydent parlamentu w Tuluzie, człowiek wielkiego rozsądku i zdatności (na te słowa skłoniła się z uszanowaniem wielka obecna peruka), którego w téj mierze zasiągałam porady, nalegał na mnie, abym się udała do Paryża, padła do nóg królowi, i na swą stronę przechyliła szalę sprawiedliwości. Usłuchałam jego porady. W Paryżu mieszkałam w hotelu na przedmieściu St. Germain, w poblizkości pani de Mailly, mojéj najszczérszej przyjaciołki, u którój najczęściéj przebywałam. W domu jéj miałam sposobność widzenia się kilka razy ze szwedzkim oficérem, baronem de Wetterstedt, który był pułkownikiem jazdy w wojsku austryjackiém. Byłto szlachcic bardzo waleczny i przyzwoicie ukształcony, ale spojrzenie jego było tak tajemnicze i tak złowieszcze, że gdy na mnie patrzał, strachem mię nabawiało. Pan de Wetterstedt prosił o pozwolenie, aby mógł bywać w moim domu; zezwoliłam na jego prośbę; poźniéj wizyty jego były częstsze, a wkrótce przekonałam się, że mnie kocha. Wyznał mi stan swego serca. Osądźcie sami, ażali mogłam mu być wzajemną, kiedy już sam widok jego nabawiał mię strachem. Uchyliłam jego oświadczenia, jakem była powinna, łagodnie i z grzecznością; ale nareszcie zaczął nalegać na mnie tak dalece, żem była przymuszona oświadczyć mu otwarcie: iż te ustawiczne odwiedziny jego wcale mi się nie podobają, i że dla uniknienia ich, oddalę się z Paryża. Pan de Wetterstedt, rozżalony moją odpowiedzią, oświadczył mi z uniesieniem, iż jego duch wszędzie

*) Akta sądowe téj sprawy znajdują się jeszcze po dziś dzień w Tuluzie.

mnie ścigać będzie, i że po upłynieniu lat szesnastu znowu się zobaczymy. Byłoto dnia 22. lipca r. 1705.«

»Gdy wyrzekła tę datę, wszyscy spojrzeli po sobie w milczeniu; wszelako margrabina zdała się nie postrzegać tego.«

»Jednego poranku,« rzekła dalej margrabina, »powróciwszy do tego zamku, gdy garderobiana splatała mi włosy, usłyszałam na kurytarzu, ztykającym się z garderobą, stąpanie mężczyzny w botach z ostrogami; spojrzałam ku drzwiom, w tém drzwi się same od siebie otworzyły; słyszymy coraz bliższe kroki, ale nie widzimy nikogo. Nagle skrzyknęła moja pokojowa i omdlawszy padła na ziemię. Ja przerażona, siedziałam jakby przykuta na miejscu i z drzeniem czułam, że jakieś ręce, tak długo urządzały moje włosy, dopokąd zupełnie utrefionémi nie zostały. Potém czułam, że jakieś, jak lód zimne usta, w lewą rękę mię pocałowały; poczém zaczęło oddalać się stąpanie, drzwi się znowu same przywarły, i już nic nie słyszałam. Gdy garderobiana przyszła do siebie, powiedziała mi, że uczuła dwie zimne ręce, które ją w tył pociągnęły, że się obejrzała, ale nie widziała nikogo... Zasiągałam w téj mierze rady u mego spowiednika, opata Lenoir. Tenże powiedział mi, że to nie jest, jak mamidło szatańskie, i przestrzegł mię, że jeźliby mi się znowu wydarzyło coś podobnego, abym w kierunku téj niewidoméj osoby, strzeliła z pistoletu. Odtąd, gdy się czasem sama, albo z moim synem po galeryi przechadzam, słyszę tuż przy mnie chodzącego mężczyznę, i czuję, jak mię zimnémi usty całuje w lewą rękę; skoro jednak wezmę za pistolet, natychmiast wszystko ustaje... Otóż powód, dla którego zawsze tę broń przy sobie noszę.«

»Tak skończyła margrabina swoje opowiadanie. Powieść ta, jakkolwiek prosta i bez wszelkiéj ozdoby, miała na sobie tak wielkie piętno prawdy, że wszystkich słuchaczy pozbawiła wesołego humoru. Wkrótce jednak zaczęły się na nowo tańce, a wrażenie przestrachu, ustąpiło rozrywkom balu. Tańce trwały aż do północy; w tém nagle dał się słyszeć krzyk przeraźliwy, a drzwi galeryi rozwarły się na oścież. Margrabina, wstecz się cofając, weszła powoli do sali; trzymała pistolet w prawéj ręce, wyglądała jak śmierć blada, a jéj oczy były wlepione, jakby w przedmiot okropny... Tańce ustały, muzyka zamilkła, blady strach osiadł na wszystkich twarzach, każdy zdjęty był trwogą i wlepił oczy w to miejsce, a nie widział żadnéj istoty; jakiś strach nadnaturalny, że tak rzekę, rozpostarł się w powietrzu... W tém słyszano niby dalekie stąpanie jakiegoś mężczyzny w botach z ostrogami, które się coraz bardziéj zbliżało, potém ujrzano niby unoszący się w powietrzu z złotym galonem kapelusz stosowany z kokardą. Kapelusz ten utrzymywał się w powietrzu w wysokości mężczyzny, jak gdyby się znajdował na niewidoméj głowie... Goście osłupieli z zadziwienia... Kapelusz i stąpanie przybliżyły się tuż do margrabiny, i w tém dał się słyszeć cmok pocałunku. Margrabina cofnęła silnie lewą rękę, wzniosła prawą pistolet w górę, i wystrzeliła... Na huk pistoletu dał się słyszeć trzykrotnie jęk żałośny; kapelusz zniknął, i nie widziano nic więcéj, tylko krew, która na podłogę bryznęła. Wćpanowie możecie jeszcze widzieć ślady téj krwie osiękłéj.« — Postrzegliśmy w saméj rzeczy kilka czerwonych plamek na podłodze. Margrabia mówił daléj:

»Baron de Wetterstedt, wystąpiwszy z służby cesarskiéj w miesiącu czerwcu 1719, przeniósł się do Upsali, gdzie znalazł kilku dawnych przyjaciół swoich; tam żył przez trzy lata bardzo samotnie i zapadał bardzo często na odrętwienie czyli twardą ospałość. Odrętwienie to trwało pewnego razu bardzo długo; trzéj oficérowie, przyjaciele jego, czuwali przy nim w nocy, wszelako pewnego razu zasnąwszy w krzesłach, ocknęli się ze snu pośród nocy około pierwszéj nad rankiem, głuchym wystrzałem z pistoletu i usłyszeli trzykrotny jęk żałośny. Podnieśli z łóżka barona i postrzegli, że miał piersi przeszyte kulą i krwią zbryzgane. Z resztą nie widzieli najmniejszego dymu w pokoju, którego okna i drzwi były pozamykane. Działo się to dnia 22. lipca 1721 r.; w tymże samym dniu i téjże saméj godziny, gdy w Fourquevaux wydarzył się wypadek, który właśnie rozpowiadałem...«

»Babka moja umarła w bardzo późnym wieku i miano ją za bardzo świątobliwą. Oto jéj portret, i nieraz słyszałem od mego ojca, że zupełnie do niéj podobny. Co się stało po wystrzeleniu, z jéj pistoletem, nie mogłem

się nigdy dowiedzieć. Ten, który wćpanowie widzicie na ścianie, pochodzi z téj saméj pary. Jestto broń maurytańska, bardzo kształtnéj roboty, którą mój dziad przywiózł z wyspy Kandyi, znajdując się w wyprawie z księciem de Beaufort. Historyję tę, która wćpanom tak dziwną i nie do uwierzenia się wydaje, opisała moja babka r. 1720 w liście do swego spowiednika, bawiącego podtenczas w Paryżu. W tym liście jest także wzmianka o rozmaitych innych okolicznościach, jak np: o pokazywaniu się bardzo pięknego i nieznanego ptaka, który zawsze siadywał na jéj oknie, ciągle na nią smutno poziérał, a podczas burzy znikał; o pieśniach szwedzkich, które babka moja śród białego dnia na polu słyszéć miała i t. d. Prócz tego, mam jeszcze protokół, który w tym zamku dnia 23. czerwca r. 1721 był zrobiony, i od mojéj babki i innych osób znakomitych, które wtedy były na balu, podpisany; między innemi przez wojskowego gubernatora, ławnika z Tuluzy, dwóch pułkowników, prezydenta parlamentu i t. d. w tym protokule zawarte są czyny, które właśnie rozpowiadałem z wszystkiemi szczegółami, a kopija tego protokułu przechowana jest na ratuszu w Tuluzie. Posiadam także list, pisany dnia 30. sierpnia r. 1722 z Upsali i adresowany do pana Lenoir przez pułkownika hrabiego Olaus de Polmskerna, jednego z trzech rzeczonych przyjaciół, który ze wszystkiemi okolicznościami donosi o śmierci barona de Wetterstedt, zaszłéj dnia 22. lipca 1721 r. Wćpanowie widzicie, że mi nie zbywa na dokumentach.«

Margrabia ukończywszy swą powieść, pokazał nam w saméj rzeczy wszystkie rzeczone dokumenta, potwierdzające rzetelność jego opowiadania. A gdyśmy częścią z zadziwieniem, częścią z wątpliwością przeglądali papiery, rzekł do nas:

»Wćpanowie zostajecie w podobném jak ja położeniu; nie możecie dać temu wiary, a jednak, gdzież znajdziemy aby jeden powód do wątpliwości?«

Nie mogliśmy na to nic odpowiedziéć i opuściliśmy zamek, pytając jeden drugiego z zasmuceniem: »Czémże jest wiedza ludzka? co jest prawdą, a co nieprawdą? co jest niezawodną pewnością?«

PIELGRZYM.

(Z francuzkiego.)

Owa twierdza, niegdy przybytek bitnych Maurów, jest teraz cichym klasztorem. Mężowie połączeni ślubem uroczystym, żyją w niéj w braterskiéj świątobliwości. Jeden z nich, szanowny starzec, właśnie wychodzi z klasztoru w celu odbycia w dalekich krajach tajemniczéj pielgrzymki.

Zstępując z czarnéj skały, na któréj klasztor się wznosi, przypatruje się przez kilka chwil owym uroczym okolicom hiszpańskim, hołdującym berłu Karola V., pogląda na nie dumnym, jak król okiem i puszcza się w podróż.

Uszedłszy jeden dzień drogi, dla wypocznienia w cieniu drzew rozłożystych usiadł na kamieniu, i jakby w głębokich zanurzony myślach, schylił głowę ku ziemi. W tém głos łagodny przerwał dumanie jego temi słowy:

»Dokądże idziesz pobożny mężu?«

»Do Świętéj Ziemi.«

»Jesteś już sędziwego wieku, a nié masz tylko kij, który ci towarzyszy?«

»Ręka moja robiła orężem w młodym wieku, teraz osłania mię ta pielgrzymska włosienica, ona będzie dla mnie obroną.«

»Jakże mi się podoba odwaga twoja! ale pójdź za mną, chciéj do nas wstąpić, obecność twoja uświęci mieszkanie nasze. W téj okolicy mało bywa podróżnych, a gościnność jest dla nas cnotą prawie zupełnie bezowocną. Rozważ, że ciemna noc nadchodzi, a w tych ogromnych lasach łatwo się zbłąkać możesz.«

»Dziękuję ci, dobra dziéwczyno, za twoje uprzejmość; pójdę z tobą. Idąc razem, zetkną się w nas na krótki czas dwa ostateczne kresy życia: ty zaczynasz, a ja kończę zawód jego. Podaj mi swoję rękę, niech ją ujmę w moję dłoń zwiędłą. Starość lubi wiek młodociany, który odbytą już drogę w pamięć mu przywołuje; młody wiek lubi starość, wzkazującą mu drogę, którą jeszcze ma do odbycia.«

Przez wiele krzyżujących się galeryj przyszli oboje do wielkiéj sali, gdzie cała rodzina siedziała przy kominku, na którym ogień się palił.

»Oto przyprowadzam do naszego domu szczęście na cały wieczór dzisiejszy,« rzekła Izabella, i natychmiast trzy siostry jéj otoczyły pielgrzyma jako oczekiwanego przyjaciela. Jedna odebrała od niego kij pielgrzymski, druga podniecila ogień, trzecia przyniosła miednicę i bieliznę, słowem, wszystkie ubiegały się w usługiwaniu pielgrzymowi. Matka tych dziewic, kobiéta w kwiecie wieku, którą raczéj można było miéć za ich siostrę, dzielila z swemi dziećmi troskliwość około cudzoziemca. Nie widać było ani w słowach, ani w jestach rozkazu. Wszystko szło ze szczérego

serca, i jakby z natchnienia, albowiem dobroczynność była nałogiem w téj rodzinie.

Starzec, przypatrując się swym dobroczyńcom, podniósł spojrzenia swoje na obraz Zbawiciela, który tego starego gmachu zdobił ścianę. Ze łzami w oczach i wzruszonym głosem zawołał: »Ach, mój Boże! Tu jest prawdziwy twój przebytek. Tyle cnot, jest godną ciebie ofiarą!«

W tém nakryto do stołu i zastawiono go winem, które pokrzepia zwątlone siły, i owocami, które jesień zwykła zawieszać po gałęziach.

»Mamo!« ozwie się Izabella, »ten poczciwy staruszek idzie do Palestyny.«

»W tak podeszłym wieku przedsiębierze podróż tak daleką?«

»Obym tylko tam zaszedł! nié mam ani zamiaru, ani nadziei wrócenia do ojczyzny.»

»Chcesz więc umrzéć daleko od swéj ojczyzny?«

»Popioły moje będą tém bardziéj utajone. Oby grób mój tak był milczącym, jak były moje usta! Azaliż nie jestem już od dawna mieszkańcem grobu? Nie zginęłoż na zawsze imię moje? Jedna tylko przysięga przypomina mi, że jeszcze żyję, i dla téjto przysięgi — nie pytajcie się daléj!«

* * *

W czasie téj serdecznéj sceny, podły występek o podal zamku knował drugą nader okropną! Dwaj ludzie, jeźli kiedy byli godni tego nazwiska, wszedłszy nie dawno w służbę u téj rodziny, umawiają się, pod zasłoną nocy, cały dom obrócić w perzynę. Postanawiają pozabijać dzieci i matkę, zabrać im klejnoty i wszystkie drogie zabytki szlachetnych przodków. Niewiasta, któréj małżonek nie dawno zginął za ojczyznę, jéj córki, bezbronne dziewczyny, nie dają im ani pomyślić, aby mieli jaki opór. Nawet przybycie pielgrzyma, utwierdza ich w tém postanowieniu. Na niego spadnie podejrzenie piekielnéj zbrodni!

Uzbroiwszy dłonie w wyostrzone sztylety, spieszą przez most zwodzony, który z strzaskiem za niemi się zamyka.

W zamku panowała już głucha cisza, sen osiadł, co żyło; sam pielgrzym tylko nie zasnął jeszcze, on bowiem zasyłał modły do Boga. Usta jego były wprawdzie zawarte, ale duch jego zawsze jeszcze zatrudniony był Bogiem. Nagle zdało się mu, jakby posłyszał tupot w galeryi, stykającéj się z jego pokojem. Krew zaczyna bić mocniéj w jego żyłach, nie z bojaźni, bo on jéj nie znał, ale głos nieba, jakieś tajemnicze przeczucie, zaczęło się odzywać w jego sercu. Słucha. Ktoś idzie z ostrożnością; pielgrzym się nie omylił; słyszy wyraźnie słowa: »Nabierz odwagi!« i w tém wkłada ktoś klucz do sypialni rodziny. Pielgrzym zrywa się z łóżka, wypada z pokoju, wyrywa jednemu zabójcy z rąk wymierzony na matkę sztylet, chwyta go za piersi i rzuca nim o ziemię, wraz chwyta drugiego i walcząc z nim na zabój, woła głośnym krzykiem o pomoc. Jedna z dziewcząt przelękniona, pociąga za sznurek u dzwónka. Przybywają w samę porę służący.

Pielgrzym odniósł sztyletem śmiertelną ranę; z upływającą krwią niknęły siły jego.

Jeden z złoczyńców, już skrępowany, naśmiewał się jeszcze z ofiar, które uszły jego żelazu. »Biedni ludzie!« zawołał, »wy, którzy tak gorące zasyłacie do Boga modły, tą razą więcéj niż Bóg posłużył wam przypadek. Na przekorę Bogu, wilcy wpadli do owczarni!«

»Milcz zapamiętały potępieńcze!« odezwał się umiérający pielgrzym. »Bóg, który wszystko widzi i wszystkiemi rzeczy kieruje, zesłał człowieka, który ich ocalił, a was wilków, zgubić podołał! a wy, kochani moi, nie płaczcie nad mym skonem, mój zawód się skończył, umiéram, wypełniwszy dobry uczynek!«

Właśnie rozpięto jego szaty dla zatamowania krwié upływającéj. Już było za późno; krew już nie ciekła. Na szyi jego wisiał medal. Byłto wizerunek Karola V. Na odwrotnéj stronie wyryto były niektóre słowa. Niezbadane są drogi Opatrzności! Pielgrzym ten był — — — Ciszéj! szanujmy tajemnicę umarłych!

HAFTOWANE PANTOFLE.

Będzie temu już miesiąc, jak przyjaciel pisarza téj powiastki, bawił w salonie pani D*. Nudził się podług najpiérwszego tonu przy stoliku, gdzie trzy wieki w cztérech wydaniach oddawały się cichej radości spokojnego bostonu, gdy pani domu oznajmiła towarzystwu, że chce puścić na loteryję niektóre kobiéce roboty, na korzyść ubogich téj części miasta, w któréj mieszkała. Do każdéj roboty przypięte było nazwisko damy, która ją swemi wypracowała rękami, a cena zostawiona była do woli wiernemu lub niewiernemu jéj czcicielowi.

Obok naszego przyjaciela wzdychał jak miech kowalski, wysoki Anglik, strzelając wzrokiem za młodą, piękną i znakomitą Rossyjanką, która, jak powiadano, dla uniknienia zbyt natrętnych zalotów, również znakomitego opiekuna, opuściła swoję ojczyznę.

Anglik wziął dziesięć losów i zapłacił za każdy napoleondora. Wszyscy krzyknęli, dziwiąc się spaniałości angielskiéj. Mój przyjaciel, także nie sknéra, chciał zagiąć parol, i dał za jeden los notę bankową na pięćset złr., co było powodem wielkiego uniesienia. Pewna baronowa tak dalece była zdziwiona, że aż omdlała... Ciągniono losy. Anglik za czterysta franków nic nie wygrał. Mój przyjaciel za pięćset złr. wygrał parę pantofli.

Nazajutrz odwiedził Anglik mojego przyjaciela. Sir Williams Black Blajmore, tak się nazywał Anglik, spojrzawszy badawczym wzrokiem na mego przyjaciela, zapytał z zimną krwią i powagą prawdziwie angielską: »Czy wćpan kochasz księżnę de Tschingiszow?«

Na to zagadnienie przyjaciel mój zaczął się śmiać niezmiernie; rzucił się na krzesło i kołysał nogi w powietrzu. Postępek takowy nie sprawił żadnego na Angliku wrażenia. Przyjaciel mój opamiętawszy się, odpowiedział z przyzwoitością: »Mości baronet, znane mi są obowiązki gościnności i tylko swemu prawu jako cudzo-

ziemicc chciéj przypisać szczérą i krótką mą odpowiedź. Pytałeś mnie: czyli kocham księżniczkę? a ja wćpanu odpowiadam, że nie!« — »To dobrze.«

»To ani źle, ani dobrze; ale tak jest w istocie.«

»Ponieważ wćpan przyjąłeś łaskawie moje angielskie zapytanie, nie mogę więc brać za złe lądowéj wesołości wćpana.«

»Jestto wymiana myśli, która tém mocniéj spoi przyjaźń. Niech żyje Anglija!«

»Niech żyje ląd stały!« odparł Williams, wznosząc laskę do góry. »Wćpan nie kochasz się w księżniczce, ale ja kocham się w niéj na zabój. Posłuchaj mię wćpan.« W tém powstawszy, otworzył okno: »Patrz, oto mój ekwipaż, mości panie.« Ekwipaż jego składał się z pysznego faetona i dwóch rumaków tak pięknych, jakich nigdy nie widziano w Hydeparku.

»Jestto zaprząg królewski!« zawołał mój przyjaciel.

»Czy podoba się wćpanu?«

»Nadzwyczajnie.«

»Chcesz go mieć?«

»Chciéj się wćpan jaśniéj tłomaczyć, milordzie, i powiedź mi cenę, jeźli go sprzedać zamyślasz.«

»Cena jego jest nadzwyczajna.«

»Wymień ją.«

»Za te dwa rumaki dasz mi wćpan tę parę pantofli, które wczoraj wygrałeś. To znaczy, za każdego konia jeden pantofel.«

Przyjaciel mój nie mógł się śmiać więcéj, już mu wątku zabrakło. Odrzekł więc poważnym głosem: »Rozumiém milordzie, chcesz mi swoje konie dać za moje pantofle, aby się dowiedziała księżniczka, jak wysoką cenę ofiarujesz za jéj robotę, i aby się przezto stała przychylniejszą dla ciebie. Wyśmienicie! Taki sposób postępowania jest zupełnie angielski, nié mam więc wćpanu nic do zarzucenia. Wszelako zamiana ta między nami miejsca mieć nie może; bowiem to, coby dla wćpana było zaszczytem, mnieby hańbą okryło. Powiedzianoby, że nieograniczonéj namiętności wćpana użyłem na moję korzyść. I dla tego milordzie, żadnego pantofla odstąpić ci nie mogę.«

»Miéj miłosierdzie, mości panie!«

»Nie! w tym sposobie nie mogę. A jednak całém sercem radbym widział te pantofle w ręku wćpana, ponieważ istotnie nié mam chęci w nich chodzić. Musimy więc wynaleźć jaki środek. Jeźli je wćpanu podaruję, cel wćpana uchybiony zostanie; bo jeźli nie poniesiesz żadnéj ofiary, chociéj je posiadał, nie będziesz miał za to żadnéj zasługi. Pojedynkować się za nie, byłoby rzeczą nierozsądną, ponieważ ja w nich żadnéj nie pokładam wartości, a w podobnych przypadkach potrzeba, aby dla obu stron o ważną rzecz chodziło.«

»Rozumiém.«

»Zastanówmy się więc nad tém, i wymyślmy jakowy środek, któryby był dla wćpana z honorem i méj delikatności nie obrażał.«

Szukali długo sposobu, nakoniec ozwał się Anglik: »Ja nic wymyślić nie mogę.

»Ale ja,« rzekł mój przyjaciel, »wymyśliłem rzecz jednę. Czy nie będzie za trudną dla wćpana żadna ofiara?«

»Żadna, mów wćpan.«

»Dobrze. Otóż, ja spalę jeden pantofel, a drugi dam wćpanu. Wćpan, mając tylko jeden pantofel, nie będziesz potrzebował drugiéj nogi i każesz ją odjąć sobie. To odjęcie nogi będzie znakiem przyzwoitéj ofiary; wszyscy poczytają to za dowód wzniosłego umysłu i tkliwego przywiązania wćpana, a księżniczka będzie musiała okazać się wdzięczną za tę ofiarę.«

»Myśl przewyborna!« odparł baronet, »lecz ponieważ to rzecz nie lada, proszę więc, nim się namyślę, pozwolić mi, ażebym się przespał do jutra.«

»Jak się wćpanu podoba, milordzie.«

Sir Williams pożegnał mojego przyjaciela. Nazajutrz dowiedziano się, że jeszcze w nocy z obiema nogami odjechał do Londynu, i że księżniczka rossyjska przez pociąg magnetyczny także się za nim w podróż udała, a mój przyjaciel zatrzymał spokojnie obadwa pantofle.

— Ze Lwowa. —

P. Karol Lipiński powrócił tu z swéj artystycznéj podróży do Odessy, w któréj i Woźniesieńsk odwiedził (jak donosiliśmy w Nr. 39. Rozm. naszych). Za odegrany koncert na pokojach najj. cesarzowéj rossyjskiéj, udarowanym został od téjże kosztownym pierścieniem brylantowym. Wychodząca w języku rossyjskim »Gazeta Odeska,« mówiąc o jego dwóch w Odessie danych koncertach, wyraża się z największym o nich zapałem i dodaje, że nie pamiętają, ażeby kiedy koncert jaki był tak licznie odwiedzonym.

P. Aloizy Rajchan, artysta sztuki malarskiéj, który jak donosiliśmy, za granicę wyjechał, bawi teraz w Paryżu i doskonali się w swym zawodzie, w pracowni sławnego Verneta.

W roku zeszłym wyszło w języku polskim pożyteczne i kosztowne dzieło pod napisem: *»Zbiór rysunków, wyobrażających celniejsze budynki wsi Zarzecza w Galicyi, w obwodzie przemyskim leżącéj, częścią z natury zdjętych lub uprojektowanych, z opisem budownictwa wiejskiego, w sposobie holenderskim i angielskim, i ogólnémi myślami o przyozdobieniu siedlisk wiejskich, przez M. M.* w Wiédniu 1836. Drukiem wdowy po Antonim Straussie. Dzieło to tak napisane jakoteż staraniem i kosztem wydane jest przez panią z hr. Dzieduszyckich br. Magdalenę Morską, znaną powszechnie w kraju naszym z cnót, światła i zamiłowania w sztukach pięknych, ogrodnictwie i budownictwie, która ku powszechnemu pożytkowi, i ku ozdobie ułożonego dzieła, sprowadziwszy w swój dom pp. Józefa Tabaczyńskiego, rysownika, i Antoniego Tepplara, rytownika, a zobowiązawszy w Wiédniu pa. Franciszka Blaschka, doskonałego kwiatów malarza, dzieło to 40stą ubarwionémi ryciuami, a 10cią kamieniociskami, wyobrażającemi kwiaty, ozdobiła; tak, że książkę tę można policzyć bez przesady między najpyszniéjsze, a w swoim rodzaju jedyne wydanie. Zamyka w sobie na 47 stronicach, pół arkuszowego pozdłużnego formatu, w zwięzłéj mowie, rzeczy następujące: Wstęp. Uwagi ogólne nad przyozdobieniem siedliska wiejskiego. O budynkach wiejskich i ich kształcie. Przepisy służące do budownictwa wiejskiego, zwłaszcza na sposób holenderski bez tynku. Opis robienia kamienia sztucznego, czyli massy kamiennéj, a z niéj posadzki. Opis robienia sufitów glinianych w mniéjszych budynkach. Powłoka ochraniająca w gankach i podłogach drzewo od zepsucia. O plantacyjach, uważanych jako środek połączający wszystkie zabudowania wiejskie w jeden ogół. O żywo-płotach i różnych ogrodzeniach. O kwiatach w ogólności. W końcu spis rozdziałów i rzeczy w nich zawartych, z wyjaśnieniem przyłączonych rysunków i planów. (Bardzobyśmy sobie życzyli, aby to pyszne wydanie i ogłoszenie dzieła niniejszego, spowodowało innych posiadaczów zamków i pałaców z ogrodami w kraju naszym, do podobnego wydania ich opisu z pięknemi rycinami, bobyto i im samym i całemu krajowi zaszczyt przyniosło.) *A.*

Z Krakowa. Towarzystwo naukowe z Jagiellońskim uniwersytetem połączone, obchodząc uroczyście pamiętną roczniсę zaprowadzenia konstytucyi od najjaśniejszych protektorów tutejszemu miastu nadanéj, odprawiło publiczne posiedzenie d. 18. b. m. i r. Rektor uniwersytetu i prezes towarzystwa, J. ksiądz Wincenty

Łancucki, wyłożył dobroczynne oświecenia skutki, wlewając w młodzież ochotę i zapał ku naukom, które życie społeczeństwa ozdobą i szczęściem darzą. Zamknął posiedzenie Jan Kanty Rzesiński, doktor o. p., rozprawą: O historyi i filozofii w dziedzinie prawa, tudzież o języku w zakonodawstwie.

London za dawnych czasów. W Londynie roku 1234 sypiali jeszcze królowie na siennikach; r. 1246 były jeszcze wszystkie domy pokryte słomą; r. 1300 wszyscy mieszkańcy zamiast przy kominku, siedzieli jeszcze przed ogniskiem, śród okopconego domu; wino przedawali aptekarze na wzmocnienie serca; wszystkie domy były z drzewa i do wielkiéj należało okazałości, jeżli kto jechał na wózku o dwóch kołach; r. 1351 największe srebrne monety były cztéro i dwu fenikowe, a parlament zamiast pieniędzy dawał królowi rozmaite towary; r. 1509 nie było w Londynie burakow, żadnego rodzaju kapusty i sałaty, sprowadzano je z Niderlandów; r. 1599 było tam tylko czterech kupców, z których każdy miał 400 funt. sztrl. majątku. Co za ogromna różnica między czasem przeszłym, a teraźniejszym!

Jeżeli prawda? Powiadają, iż M. G. van Elsen, Bruxelczyk, wynaleść miał sposób kierowania tak lekko balonem napowietrznym, jak okrętem parowym. Zamyśla on udowodnić próbę, że jego wynalazek jest niezawodnym.

Do historyi machin parowych. Gdyby kardynał Richelieu był uważniejszym, byłaby para już o 120 lat prędzéj wzniosła się do potęgi dzisiejszéj. Miło czytać co Marion de Lorme, słynna z piękności, pisze w téj mierze: »Pewnego dnia przychodzi jakiś człowiek podeszły do kardynała Richelieu i oświadcza jego eminencyi z drżeniem, że wynalazł tajemnicę, iż za pomocą kipiącéj wody nawet ziemię poruszyć może; kardynał nazwał go szaleńcem; starzec obstaje przy swojém urojeniu; Richelieu każe go zaprowadzić do domu waryjatów.« Jestto rzecz pewna, że pierwszy wynalazca siły parowéj umarł w *Bicetre!*

Oświata. Gazeta wysp Sandwichskich jest dobrze redagowana i obejmuje rzeczy bardzo ciekawe. Znajdują się w niéj wyjątki z dzienników Syjamu, Kantonu, Kalkuty, Singapore, Kalifornii, z europejskich i amerykańskich gazet. Czy mógł Kok coś podobnego przed sześćdziesięcią laty pomyśléć?

Przeciwieństwa stref. Podług gazety Nowego Jorku z dnia 12. czerwca b. r. miał być w tameczněj okolicy upał tak wielki, iżby można było upiec nawet salamandrę. Przeciwnie piszą z Irkucka, gdzie pospolicie najostrzejsze panują mrozy, że przeszła zima była tam tak nadzwyczajnie łagodną, iż większe rzeki tylko przez trzy miesiące były zamarznięte.

Marnotrawstwo. Pani Vigée Lebrun powiada w swoich »Wspomnieniach« o rossyjskim hrabiu Dymidowie, że ten podczas swego pobytu w Dreźnie uskarżał się na to, iż w tem mieście na jeden dzień zaledwo 1000 talarów wydać może. Bogaty hrabia powinien był udać się do Londynu, gdzie obecnie, chciawszy widzieć wszystkie osobliwości i to co w publicznych pismach codziennie bywa ogłaszanem, płacąc za miejsce tylko po ośm groszy, wydać trzeba 550 talarów, jak zapewniają gazety angielskie. I w starożytności znajdujemy takie przykłady wielkiego marnotrawstwa. Gdy jeden pretor prosił Lukulla, aby mu na wystawienie dramy pożyczył kilka płaszczów purpurowych, posłał mu tenże w tym samym dniu 300 sztuk z prośbą, aby sobie wybrał te, co mu się najlepiéj podobać będą.

Sierota. Byłoto śród mroźnéj nocy w styczniu, śnieg okrył martwą ziemię, a wiatr północny dął z całéj siły pomiędzy suche gałązki wiérzb, ocieniających groby samotnego cmentarza. Grzegorz, dozorca, odbywał właśnie ze swoim psem, Dragonem, na około tegoż czaty, gdy księżyc blade światło rzucił na to ustronie, w którem obóstwo znajdowało ostatni spoczynek. Dozorcy zdało się, że spostrzegł jakąś ruszającą się postać, dał więc zwykły znak swemu psu, który szczeknąwszy na głos, poskoczył w ono miejsce. Grzegorz udał się za nim i zastał psa łaszącego się około małego dziecka, które pochylone ku ziemi głaskało go swą rączką. Byłto Pawełek, biedny chłopczyna, którego Dragon najlepiéj lubił ze wszystkich wiejskich dzieci. »A co ty tu robisz Pawełku?« zapytał Grzegorz. Pawełek podniósł głowę i ocierając sobie łzy po licach spadające, rzekł z płaczem: »Szukam tu mojéj mamy!« Wzruszony dozorca podniósł dziecię z ziemi, a przycisnąwszy je do serca, oddalił się z niem z tego miejsca żalu. Przez niejaki czas czuwano troskliwie nad Pawełkiem, a gdy nareszcie przestał płakać, myślano, że się już uspokoił i zapomniał o swojéj matce! Lecz gdy upłynął miesiąc, w nocy jeszcze zimniejszéj, niż ta, w któréj znaleziono na cmentarzu Pawełka, usłyszał Grzegorz, że Dragon zaczął wyć żałośnie na cmentarzu, pospieszył więc ku niemu i przy świetle latarni ujrzał psa, siedzącego około dziecka, które oparłszy o krzyż główkę, na poły nagie, klęczało na grobie swojéj matki. Grzegorz przybliżył się i chciał skarcić Pawełka, że śród tak mroznéj nocy wybiegł z domu; ale dotknąwszy się go, znalazł ciało dziecięcia już zdrętwiałe. Biedna sierotka, nie rozłączyła się tą razą z swoją matką, obok niéj na zawsze usnęła. O święta naturo ludzkości!

Napoleon i stary żołniérz. Gdy Francuzi wracali z Moskwy, przechodził Napoleon, który często szedł pieszo, po przed jédnego starego żołnierza. »Do którego należysz pułku?« zapytał go cesarz. — »Do sześćdziesiątego czwartego,« odrzekł nieszczęśliwy prawie na pół zmarzły. — »A godzieneś ty do tego walecznego pułku należéć?« — »Dla czegoż nie?« — »Czemuż nie trzymasz głowy do góry.« — »Bo mi zimno.« — »A ba! myślisz ty, że mnie cieplej?« rzekł cesarz i odszedł spiesznym krokiem. Stary żołnierz mruknął pod nosem: »Jemu łatwo tak mówić, bo ma rękawice!«

Nie wszystko złoto co się świeci. Balzac, autor francuzki, jest tak zaszargany długami, iż dla uniknienia natrętnych wierzycieli, którzy mu przeszkadzają w robocie, najął pokątne pomieszkanie dla siebie. Janin także choruje na tę samę zarazę. Własność autorów francuzkich jest po większéj części pożyczką!

Nowy gracz w szachy. W Londynie znajduje się obecnie małpa grająca w szachy, ale tylko w przytomności swojego pana, który w téj grze jest doskonałym. Małpa, nim postawi figurę, poziéra na swego pana, i posuwa ją potem na dany znak od tegoż z wielką zręcznością, tak, iż z obecnych nikt nie może odgadnąć téj rozmowy. Szach królowi! oznacza *żoko* małym krzykiem, a za każdém wzięciem figury swojemu przeciwnikowi, wydrzyźnić mu się nie zapomina.

Naiwność Chińczyków. Kapitan okrętu, na którego pokładzie znajdowały się także żony niektórych oficérów angielskich, zarzuciwszy w jednym porcie chińskim kotwicę, dał przed swoim odjazdem świetny bal na okręcie, na który zaprosił także wielu znakomitych Chińczyków. Gdy się Anglicy ze swojemi żonami natańczyli do upadłego, i zlani potem, dla wytchnienia i ochłody, przechadzali się po pokładzie, jeden mandaryn, znajdujący się między gośćmi, zapytał kapitana z wielkiem zadziwieniem, wskazując na tancerzy znużonych: »Dla czegoż nie każecie, aby raczéj wasi służący odbywali tę pracę?«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*